

Grzegorz Kaczorowski

"Cztery nazwiska, dwa imiona.
Macedońscy uchodźcy wojenni na
Dolnym Śląsku", Anna Kurpiel,
Poznań 2015 : [recenzja]

Wrocławski Rocznik Historii Mówionej 5, 276-281

2015

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Anna Kurpiel, Cztery nazwiska, dwa imiona. Macedońscy uchodźcy wojenni na Dolnym Śląsku, Poznań 2015, ss. 328

Przed kilkoma miesiącami nakładem poznańskiej oficyny Wydawnictwo Nauka i Innowacje ukazała się książka *Cztery nazwiska, dwa imiona. Macedońscy uchodźcy wojenni na Dolnym Śląsku*, autorstwa Anny Kurpiel, która stanowi przekrojowe opracowanie dziejów Macedończyków w powojennej Polsce, szczególnie na Dolnym Śląsku. Trzeba przyznać, że temat polskich Macedończyków dawno powinien być zostać podjęty. Tę niszę wypełnia praca wrocławskiej Badaczki.

Na początku kilka słów o Macedończykach. Słowiańska ludność północnej Grecji, nazywająca siebie Macedończykami (co do dziś nie dociera do świadomości potomków Platona i Arystotelesa), stanowiła dla Greków problem co najmniej od XIX w., czyli od czasu zrzucenia kilkunastowiecznego jarzma niewoli tureckiej. Do II wojny światowej ta kilkuset tysięczna grupa narodowa była pozbawiana praw przysługujących mniejszościom. Wraz z wybuchem wojny domowej w Grecji (1946–1949) większość Macedończyków opowiedziała się po stronie komunistów, widząc w nich szansę na zakończenie wynaradawiającego procesu hellenizacji. Wobec nieuchronnej klęski obozu lewicowego, od 1948 r. kilkadziesiąt tysięcy Macedończyków wraz z greckimi komunistami zostało zmuszonych do opuszczenia na zawsze swojej małej ojczyzny, Macedonii Egejskiej. Wysiedlenie odbyło się w dwóch etapach: pierwszy rozpoczęty na początku 1948 r. objął ewakuację prawie 28 tysięcy dzieci (!), przetransportowanych do europejskich krajów demokracji ludowej. Drugi stanowiła ucieczka dorosłych po przegranej wojnie domowej. W ten sposób kilkanaście tysięcy uchodźców wojennych z Grecji znalazło się w Polsce.

Historia związana z obecnością Macedończyków w PRL jest raczej mało znana w Polsce. W najlepszym razie kojarzyć się może z powojenną falą uchodźców z Grecji, z której pochodzą: słynna w latach 80. XX w. piosenkarka Eleni czy gitarzysta Czesława Niemena Anthimos Apostolis. Prawdopodobnie nieliczni wiedzą o tym, że wśród tych uchodźców połowę, jeśli nie więcej, stanowili Macedończycy z części Grecji zwanej Macedonią Egejską. Celem Autorki wyrażonym we Wstępie jest „przede wszystkim przywrócenie do dyskursu: naukowego, historycznego, do dyskursu pamięci, tej zapomnianej i zepchniętej na margines grupy”.

Chodzi o grupę maksymalnie kilkunastu tysięcy ludzi (z czego na przełomie lat 40. i 50. XX w. ponad połowę stanowiły dzieci), którzy od końca

lat 40. do końca lat 60. XX w. zamieszkiwali głównie Dolny Śląsk (oraz kilka miejsc na Pomorzu i w Bieszczadach). Dziś po tej grupie niemal nie pozostało śladu: ani materialnego, w postaci pomników czy miejsc pamięci, ani tego bardziej trwałego: w świadomości współczesnych Polaków. Dlaczego? Może dlatego, że przez pierwsze lata pobytu ich obecność, jako uchodźców politycznych, była opatrzona klauzulą „ściśle tajne”? A może dlatego, że większość z nich szczerze wierzyła w komunizm, w tym duchu była wychowywana i jego duchem żyła, a przecież współcześnie niechętnie wskrzeszamy do istnienia „janczarów komunistów”, jakimi mieli stać się macedońscy wychowankowie Państwowych Ośrodków Wychowawczych? To, co jednak pozostało – znikające ślady i okruchy pamięci – zebrała Anna Kurpiel. Są to przede wszystkim wspomnienia samych Macedończyków, głównie historie mówione, a także materiały archiwalne – owoc kwerend w Polsce i w Macedonii. Autorka stara się ukazać „specyfikę losów ludności macedońskiej” w Polsce, szczególnie na Dolnym Śląsku; ludności niegreckiej, a jednak często uznawanej za greckich emigrantów.

Książka składa się z trzech części. W pierwszej Anna Kurpiel ukazuje kontekst historyczny, z problemami mniejszości macedońskiej w północnej Grecji, jej udziałem w greckiej wojnie domowej oraz konsekwencje tego udziału, tj. przymusowy wyjazd z Macedonii Egejskiej. Tu także znajduje się opis miejsc pobytu emigrantów politycznych, ze szczególnym uwzględnieniem miast i miasteczek Dolnego Śląska. Część druga, objętościowo zajmująca ponad połowę książki, stanowi meritum. To tu odnajdziemy właściwe dzieje mniejszości macedońskiej w Polsce. Autorka ukazuje Macedończyków jako „mniejszość w mniejszości”, jako społeczność „nieustannie znajdującą się w podwójnej zależności – od Greków i od Polaków”. W tym „swoistym trójkącie wzajemnych powiązań (Macedończycy – Grecy – Polacy)” Kurpiel omawia „kwestię macedońską” i opisuje próby instytucjonalnego organizowania się Macedończyków w Polsce. W tych dwóch rozdziałach w najpełniejszy sposób uwidacznia się historyczny (w tradycyjnym sensie tego słowa) warsztat Badaczki. Kolejne dwa, stanowiące jedną trzecią objętości książki, traktują o zagadnieniu integracji i adaptacji macedońskich uchodźców na Dolnym Śląsku oraz o wyjazdach tej społeczności z Polski (zarówno czasowych, jak i na stałe). Wydaje się, że te rozdziały są najlepiej przemyślaną i dopracowaną częścią publikacji. Obfitują w liczne wypowiedzi świadków, poddane fachowej analizie naukowej. Na trzecią część dzieła składa się zaledwie 20 stron tekstu, w którym Autorka pisze o pamięci Macedończyków, tej autobiograficznej i tej zbiorowej. Jednak ta część, stylem

i warsztatem pracy przypominająca dwa poprzednie rozdziały, burzy nieco utrzymaną do tej pory chronologię. Badaczka bowiem w tym miejscu (to jest na końcu książki), poddając analizie zagadnienie pamięci, umieszcza poruszające relacje świadków o... rozstaniu z domem rodzinnym i z macedońską ojczyzną, czyli tematy, które chronologicznie powinny znaleźć się na początku.

Książka *Cztery nazwiska, dwa imiona...* stanowi bez wątpienia kompendium wiedzy na temat historii Macedończyków Egejskich w Polsce. Z pewnością stanie się też punktem odniesienia dla kolejnych prac poruszających ten temat. Autorka zebrała ogromną ilość danych o tej mniejszości, a zgromadzona wiedza została bardzo dobrze uporządkowana. Robi wrażenie także liczba poruszonych wątków, choć nie wszystkie – nie z winy Autorki – zostały wyczerpane. Przykładowo bardzo ciekawy jest fragment dotyczący nielegalnych organizacji macedońskich w Polsce. Niestety, poza genezą tych instytucji czytelnik niewiele dowiaduje się o ich losach. Osobiście brakuje mi na przykład opowieści związanych z życiem codziennym tego bądź co bądź egzotycznego etnosu w Polsce Ludowej lat 50. i 60. XX w.

Budując podstawy do swojej analizy, Autorka przedstawiła rozumienie pojęcia tożsamości narodowej i ojczyzny, teorię historii mówionej, definicję pamięci, teorię dotyczącą problemu integracji i adaptacji itd. Kurpiel, czerpiąc z dorobku różnych nauk, narzuca socjologiczno-antropologiczną siatkę pojęciową na badane i opisywane doświadczenie kilkunastu tysięcy ludzi.

Cztery nazwiska, dwa imiona... mówi o historii (Macedończyków zamieszkujących przez ponad dwie dekady obszar Dolnego Śląska), a mimo to nie stanowi dzieła ściśle historycznego. Autorka w swojej pracy łączy podejście historyka, socjologa i antropologa. W tym sensie powstało dzieło z pogranicza różnych nauk. Można powiedzieć, że owa „interdyscyplinarność” wynika z użycia w pracy metody *oral history*. Kurpiel przyznaje, że perspektywa spotkania z drugim człowiekiem i jego historią związana z możliwością dotarcia do Macedończyków – bezpośrednich świadków opisywanych zdarzeń (zastosowanie metody *oral history*) jest jej bliższa niż szukanie świadectw obecności Macedończyków w materiałach archiwalnych, które obciążone są polską perspektywą (a dokładniej perspektywą nauczycieli, wychowawców, esbeków czy partyjniaków. To oczywiście nie oznacza, że Autorka zaniedbała „historię pisaną”. Połączyła tu perspektywę historyka z perspektywą antropologa (także socjologa, a momentami nawet filozofa), stwierdzając, że „te dwie różne od siebie formy utrwalania pamięci uzupełniają się wzajemnie” i próbując łączyć to, co (pozornie) obiektywne, z tym,

co (pozornie) subiektywne. I na tym, według mnie, polega odpowiednie wykorzystanie *oral history* i drzemiącego w nim potencjału.

Jeszcze słów kilka o *oral history* w książce *Cztery nazwiska, dwa imiona...* Autorka bazuje głównie (poza dokumentami archiwalnymi i opracowaniami naukowymi dotyczącymi poruszanej tematyki) na 36 nagraniach wspomnień zrealizowanych w ciągu kilku lat w Polsce (nie tylko na Dolnym Śląsku) oraz w Macedonii (13 relacji). Oczywiście 36 nagrań to ogrom pracy, ale jednak, nie umniejszając wysiłku Badaczki, czy to nie za mało, żeby usłyszeć reprezentatywny głos kilku lub kilkunastotysięcznej społeczności? W projekcie dokumentacyjnym o byłych więźniach KL Mauthausen nagrano ponad 160 relacji świadków (to prawda – przez grupę badaczy), by ostatecznie w książce *Ocaleni z Mauthausen* Katarzyna Madoń-Mitzner wykorzystała 104 z nich...

Po drugie wątpliwości budzić może nie tyle sposób, ile forma wykorzystania tego materiału. Autorka cytuje fragmenty wypowiedzi świadków bez jakiegokolwiek pracy redakcyjnej, w wersji surowej, jako dosłowną transkrypcję słów rozmówcy. Nie do końca rozumiem, skąd decyzja o takim wykorzystaniu, i tym samym, moim zdaniem, w wielu przypadkach, zepsuciu materiału? Jaka metodologia za tym stoi? Czy naukowa wartość tych słów i ich historyczna obiektywność tkwi w wiernym zapisie? W mojej opinii wtrącenia typu „no”, „tego”, lapsusy językowe i gramatyczne potknięcia widoczne w transkrypcji nie mają wielkiej wartości, nawet dla polonisty, dialektologa czy językoznawcy, za to przynieść mogą szkodę zarówno rozmówcy, jak i samemu źródłu, stawiając spisane opowieści świadków o słabych kompetencjach językowych na o wiele niższym poziomie niż inne źródła pisane. I niestety, widać to bardzo wyraźnie w pracy Anny Kurpiel. Często przy zestawieniu dwóch różnych źródeł, te pochodzące z nagrań wypadają słabo, mało przekonująco, jakby dyletancko. Oczywiście problem nie jest tak rażący, gdy czyta się wypowiedzi osób płynnie formułujących swoje myśli. *Oral history* poza wszystkimi innymi walorami tej metody, sprawia, że historia staje się, a przynajmniej powinna stać się, bliższa i żywsza. Na tym właśnie polega jej przystępność i atrakcyjność. Praca więc nad tekstem mówionym i dostosowanie go do wersji pisanej nie jest tylko zabiegiem psychologicznym, mającym poprawić samopoczucie czytelnika, lecz także wynika z szacunku do samego rozmówcy, jak i do słowa właśnie. W tak dosłownej wersji nie powinno się moim zdaniem prezentować głosów świadków, które mają za cel „przywrócenie dyskursu pamięci” Macedończyków w Polsce. Uważam, że zostały tu naruszone odmienne porządki, jakimi

rządzą się język mówiony i język pisany. Za przykład na prawidłowe według mnie podejście do języka mówionego może posłużyć metodologia wypracowana w środowisku Domu Spotkań z Historią i Ośrodka KARTA.

Niestety, o dobrą korektę i redakcję „proszą się” się nie tylko transkrybowane wypowiedzi świadków, ale w ogóle cała książka. Tym bardziej, że jest ona dziełem naukowym. Ta uwaga dotyczy oczywiście zespołu redakcyjnego Wydawnictwa Nauka i Innowacje, a nie samej Autorki. Tekst obfituje w liczne błędy gramatyczne (nieprawidłowy szyk zdań, błędy frazeologiczne) oraz językowe (niepoprawny styl). Równie liczne są literówki, obecne zwłaszcza w nazwiskach lub nazwach geograficznych (np. niekonsekwentna odmiana nazwiska Tito, błędny zapis rumuńskich nazw miast itp.). Nie zawsze doskonale są także tłumaczenia z języka macedońskiego. Przykładowo cytowana w kilku miejscach wspomnieniowa książka Gigo Czaczkirowskiego, *Ostanaa samo spomeni*, błędnie została przetłumaczona jako „Zostaną tylko wspomnienia” zamiast „Zostały tylko wspomnienia”. Niezrozumiałe jest dla mnie również zapisywanie skrótu jednej z organizacji macedońskich „Egejska Zora” za pomocą cyrylicy, podczas gdy wszystkie inne nazwy i nieliczne cytaty w tym języku zawsze pisane są alfabetem łacińskim. Tym bardziej, że macedońskie „zet” pisane wielką literą, dla niewprawnego oka przypomina cyfrę „3”, co wprowadza tym większe zamieszanie. Są to oczywiście drobiazgi, które jednak składają się na całość opracowania.

Kolejny problem związany jest z anonimizacją rozmówców. Czemu ona tutaj służy? Czy taka była wola świadków? Nigdzie nie znalazłem takiego wyjaśnienia. Rozumiem anonimizację w badaniach socjologicznych albo wtedy, gdy poruszane są wątki bardzo drażliwe, jak gwałty, zbrodnie itp. (nie twierdzę przy tym, że wątki poruszane przez Macedończyków nie są traumatyczne) lub gdy podanie nazwisk może komuś zaszkodzić (np. macedońskiej rodzinie rozmówców mieszkającej do dziś w Grecji). Uważam jednak, że taki zabieg prosi się o wytłumaczenie. Zwłaszcza że i tak w kilku przypadkach na podstawie wypowiedzi świadków można rozszyfrować pełne imię i nazwisko. Poza tym znajomość tych danych (będących nośnikami tożsamości!) odgrywa pewną rolę psychologiczną przy lekturze wspomnień. W stosowaniu metody *oral history* bardzo często mówi się o spotkaniu, rozmowie, o relacji naznaczonej bliskością. Gdy czytam zebrane w jednej książce wspomnienia kilku lub kilkunastu rozmówców, znając ich dane osobowe, mimowolnie się z nimi „zaprzyjaźniam”, stają mi się w jakimś sensie bliżsi. W *Czterech nazwiskach, dwóch imionach... (nomen omen)* efekt ten został zaprzepaszczonej przez anonimizację. Poza tym w wypadku Macedończyków pochodzących

z Macedonii Egejskiej kwestia imienia i nazwiska związana jest z kwestią tożsamości, co podkreślone zostało choćby w samym tytule książki. A zatem z punktu widzenia czytelnika taki zabieg wobec rozmówców nie jest obojętny. Czytając wypowiedzi jakiegoś N.N. lub A.Z., nie mamy szans zaznajomienia się z tą osobą. Przy lekturze kolejnych anonimów tego samego N.N. lub A.Z. tracimy ciągłość z poprzednimi jego wypowiedziami. A to powoduje, że świadek zostaje zdepersonalizowany.

Te wszystkie krytyczne uwagi nie powinny jednak przysłonić prawdziwej wartości książki. Po pierwsze, powtórzę to raz jeszcze, jest nią sam fakt poruszenia tego zapoznanego tematu. Mam nadzieję, że publikacja przyczyni się do ożywczego fermentu nie tylko w środowisku naukowym czy w wąskim gronie polskich Macedończyków, lecz także w szerszych kręgach polskiego społeczeństwa. W tym celu, co również, jak pamiętamy, było życzeniem Autorki („przywrócenia dyskursu pamięci”), sugerowałbym wydanie książki o mniejszych ambicjach naukowych, w której głos należałby wyłącznie do świadków historii (zredagowane *oral history*) oraz dokumentów.

Na koniec warto poruszyć jeszcze jedną kwestię, o której pisze Anna Kurpiel. Temat tożsamości narodowej Macedończyków oraz relacji macedońsko-greckich nie jest zagadnieniem wyczerpanym. Nie jest to historia zamknięta, rozliczona, przebaczona, którą, po przeczytaniu choćby tej książki, można skwitować stwierdzeniem: „Ciekawa historyjka, która wydarzyła się kilkadziesiąt lat temu!”. Macedońska mniejszość w Grecji do dziś nie doczekała się oficjalnego uznania ze strony Greków, dawnym uchodźcom politycznym nie oddano utraconego podczas wojny mienia. Młode państwo macedońskie musi borykać się z takimi problemami, jak uznanie swojej nazwy na arenie międzynarodowej; nazwy, która do dziś oficjalnie brzmi Była Jugosłowiańska Republika Macedonia (ciekawe, czy Ukraińcy chcieliby mieszkać w Byłej Radzieckiej Republice Ukrainie?). Grecja, *outsider* i mimo wszystko beneficjent Unii Europejskiej, który o mały włos z hukiem z niej nie wyleciał, od lat blokuje wejście Macedonii do struktur NATO i UE... W kontekście niezłatwionych spraw macedońsko-greckich książka Kurpiel zyskuje na aktualności. Okazuje się bowiem, że koegzystencja Macedończyków i Greków w rzeczywistości Polski Ludowej ma swoje znaczenie, a jej opis stanowi cegiełkę we współczesnej historii Macedonii i Grecji.

Grzegorz Kaczorowski
Warszawa